

Weatherley Chesney.

SZTYLET.

(Z angielskiego tłumaczył H.).

2

Podziękowałem uprzejmemu urzędnikowi i słuchając jego rady, napisałem zaraz do Butterfona, mojego адвоката i do kilku przyjaciół, na których mogłem liczyć, o ile ich moje listy zastaną. Kiedy prowadzono mnie do celi aresztanckiej, musiałem jeszcze raz przechodzić koło ciała zamordowanej, które przykryte prześcieradłem, spoczywało na marach. Widok ten odebrał mi spokój na resztę nocy. Znalazszy się w małym pokoiku, zacząłem przemierzać go niespokojnie krokami i wcale nie próbowałem bodaj we śnie zapomnieć o mem beznadziejnym położeniu. Nic w tem nie było dziwnego. Straszne wydarzenia nastąpiły po sobie jak uderzenia obuchem, aż ostatecznie znalazłem się za kratami, wpośród najgorszych zbrodniarzy. Ranne pisma z pewnością podadzą obszerne sprawozdania, które napelniają moją rodzinę rozpaczą, a przyjaciół wielkiem zdumieniem. Byłem przekonany, że nie jeden z nich uwierzy w najgorsze rzeczy; byli jednak i tacy, którzy nie będą chyba wątpili w moją niewinność. Jedno wierne serce zakrwawi się, serce, które kilka godzin temu było w najwyższej szczęśliwości przy mej pierś. Najsmutniejszym zaś jest fakt, iż mogę się uratować tylko... jeśli wyjawię zbrodnię Feutona.

Grzegorz Feuton morderca! Jaka straszna myśl! Co na Boga mogło go skłonić do tak dyabelskiego czynu? Któż była ta kobieta? Stać! Naturalnie, naturalnie, tak musiało być. Że też wcześniej nie wpadłem na ten domysł! Przecież to musiała być owa dziewczyna, która tyle zgryzoł już sprawiła rodzinie Feutonów. Biedny młodzieniec zakochał się w kobiecie, która towarzysko stała o wiele niżej od niego, nawet podobno służyła. Starania krewnych, aby nieporządany ten stosunek zerwać były nadaremne; Georg stanowczo oświadczył, że kocha i nigdy nie opuści swej wybranej. W takim razie jednak dlaczego ją zabił? Na jakiej podstawie właściwie przypuszczałem, że to jest jego kochanka? Myśli mieszały mi się coraz bardziej, chwilami zdawało mi się, że natłok ich musi sprowadzić warranty.

Zaczął wreszcie świtać dzień, a natura moja wyczerpana do reszty zażądała swych praw. Prawie padłem na twardy materac i natychmiast pogrążyłem się w chorobliwym i niespokojnym śnie.

Rano pierwszy stanął przedemną Butterfon. Nie otrzymał jeszcze mojego listu, ale przeczytawszy poranne gazety, pospieszył mi natychmiast z pomocą. W kilku słowach wyjaśniłem mu całą sprawę, pożegnał mnie też zaraz, aby poczynić potrzebne kroki do mego uwolnienia.

Także policja nie próżnowała. Zasięgnęła wyjaśnień w „Ogrodzie Very”, gdzie potwierdzono moje słowa. Najważniejsze zaś było to, że znalazły się dalsze ślady mordercy. Jak się okazało, zaledwie straciłem wtedy z oszu nieszczęśliwego człowieka, natknął się na ludzi, którzy ścigali go. W ucieczce chciał przez jakiś mur przerzucić zlaną część sztyletu, która mu w ręku pozostała, rzucił jednak za krótko i sztylet spadł prosto pod nogi goniących go. Widziano go potem jeszcze raz w Oxford Street, potem jednak wszelki ślad po nim zaginął. Wszystkie te fakty potwierdzały dostatecznie moją niewinność. Z pierwotnych oskarżeń nie pozostało właściwie nic, prócz zarzutów czynionych mi przez jakieś podejrzané indywiduum, którego w dodatku nie można było odszukać. W dodatku świadectwo wydane mi przez mojego przełożonego, generała Yeo i kilku wpływowych przyjaciół wystarczyło, aby mnie zupełnie z tych zarzutów oczyścić.

Po południu mogłem powrócić już spokojnie do hotelu. Przypniatało mnie jeno przeświadczenie, że mordercą tej dotychczas jeszcze nieznaną kobiety jest Grzegorz Feuton, brat dziewczęcia, które kilka godzin temu przysięgło zostać moją żoną.

ROZDZIAŁ III.

Pościg za Feutonom.

Rzućmy teraz okiem na to, co się działo z Feutonom od chwili, gdy uciekł przedemną. Zestawiam wydarzenia na podstawie sprawozdań dzienników i tego, co mi Grzegorz potem opowiadał. Owego wieczoru pędząc jak nieprzytomny, nie umiał zapanować nad swoimi krokami, następstwem czego było, że zwrócił uwagę przechodniów na siebie. W szybkim biegu zgubił kapelusz, w ręce ścisnął ciągle jeszcze trzon sztyletu, poły płaszczka rozwiewały się ukazując pod spodem wieczorowe ubranie. Błady, wykrzywionymi rysami twarzy zdradzał śmiertelną trwogę. Nic dziwnego, że nawet w tej dzielnicy podobne zjawisko w nocy wydało się podejrzanem. Kto pierwszy zorganizował pościg za nim, nie wiadomo i ostatecznie rzecz zupełnie obojętna. Prawdopodobnie któryś z nocnych włóczęgów. Wnet pędził za nim tłum kilkunastu osób.

— Trzymajcie go!... trzymajcie go! — rozlegało się raz po raz.

Feuton spojrzał swych prześladowców dopiero, kiedy zaczęli mu już następować na pięty. Przypomniał sobie wtedy, że w zaciśniętej kurczowo ręce trzyma jeszcze nieszczęsną broń. Usiłował więc pozbyć się jej, przerzucając ją przez mur, ale jak to już wspomniałem powyżej, upadła ona pod nogi najbliższego prześladowcy, ten schylił się, aby zobaczyć, co to jest i w ten sposób na chwilę pogoni została wstrzymana. Feuton skorzystał z tej przerwy i pognął naprzód, jakby go furie goniły. Szczęście mu sprzyjało. Bez tchu, bez kapelusza i drżąc na całym ciele wydostał się wreszcie na Oxford Street. Nikt już tu za nim nie gonił. Właśnie przejeżdżał omnibus uliczny. Momentalne postanowienie i znalazł się na tylnej platformie wozu. Nie wiedział, dokąd jedzie, ale się też o to nie pytał. Omnibus był przepelniony, w rozrządzeniu nadeprnął swego sąsiada, który wcale nie był zadowolony z nowego gościa.

— Mógł pan na następny wóz poczekać — zauważył zgryźliwie, spoglądając na gołą głowę Feutona — może w nim znalazłby pan i swój kapelusik.

Teraz dopiero uświadomił sobie Feuton, że zgubił kapelusz. Zrozumiał natychmiast, że musi postarać się o jakiś inny, aby nie zwracać na siebie uwagi, dlatego też od razu rozpoczął pertraktacje z swym sąsiadem. Napotkał jednak silną opozycję.

— Oho! to ja dla miłości pana mam się ziębić? Ani mi się śni.

— Zapewne drogi kapelusz — badał Feuton.

— Przynajmniej dla mnie, chociaż nie ma mitry książęcej. Ale każdy z nas ma przecież poczucie swego honoru, a i ja nie chciałbym tak, jak inni, gonić po ulicy jak żebrak.

— A gdyby tak naprzykład pięć szylingów? — kusił Feuton.

— Pan chyba żartuje, dobry panie. Pięć szylingów za ten doskonały kapelusz? Pierwsza marka! Chyba byłbym ostatnim osłem! Za te pieniądze może pan mieć najwyżej to pióro, ładne piórkol.

— Siedem i pół szylinga?

— No, na tyle mogę się ostatecznie zgodzić. A szkoda by było, gdyby taki eleganś nabawił się kataru. No, a co będzie z piórkem? Ładne, prosto z pawiego ogona!

— Pióro może pan zastrzymać — rzucił Feuton, odbierając kapelusz.

Konduktor wywołał w tej chwili nazwę końcowej stacji, wóz stanął, a pasażerowie powoli rozproszyli się na wszystkie strony. Feuton namyślał się. Zagłębił ręce w kieszeniach i badał stan swej gotówki. Kilka złotych monet zabłysło. Dobrze, wprawdzie nie wystarczy to na długo i daleko przed sprawiedliwością nie ujdzie, będzie mógł jednak opuścić miasto, zanim rano wiadomość o morderstwie wszędzie się rozejdzie. A więc szybko na najbliższy dworzec! Kierując się jakimś wewnętrznym uczuciem, postanowił uciec na północ i wskoczył do tramwaju, który dążył w kierunku dworca linii północnej. Mimo, iż deszcz lał strumieniami, zbieg nie powążył się wejść do środka wagonu, ale wygramolił się na dach, gdzie jednak był pewny, że nie spotka nikogo znajomego.

Jakże powoli toczył się wagon. Zdawało mu się, że jakiś zły duch naumyślnie płata mu figle. Na jakimś rogu ulicy najechali na kawał drzewa, konie spłoszyły się i próbowały uciec.

W innym miejscu o mało nie przejechali jakiegoś pana, który w wesoło-mrocznym usposobieniu powracał z nocnej wycieczki. W końcu jeden z koni upadł na śliskim bruku. Koło cmentarza Kensol green jechali tak wolno, jakby za pogrzebem, aż dopiero, kiedy już widać było zdaleka dworzec, woźnica i konie ostatecznym wysiłkiem załoczyli wóz na miejsce.

Właśnie zegar na dworcu wydzwaniał północ i Feuton dowiedział się ku swej wielkiej radości, że pospieszny pociąg nocny przechodzi za kilka minut. Dokąd miał kupić bilet? Najlepiej byłoby Liverpool, ale wobec braku pieniędzy zdecydował się jechać do Manchesteru. Czekał dwanaście minut, poczem na dworzec wpadł pociąg. Feuton odetchnął swobodniej. Nie mógł znaleźć wolnego przedziału. Umieścił się więc z jakimś samotnym podróżnikiem. Ten przyglądał mu się zrazu obojętnie i zdawał się usypiać. Rozbudził się jednak natychmiast, skoro Feuton zrzucił przemokły płaszcz i ukazał się we fraku.

— Łaskawy pan powraca zapewne z wesołej zabawy? — zapytał z wybitnym akcentem Yorkshirskim w głosie.

Feuton kiwnął potwierdzająco głową; był tak zmęczony i wyczerpany, że nie miał sił do prowadzenia rozmowy.

— Założyłbym się, że codziennie takie zabawy się odbywają.

Feuton westchnął z cicha, gadatliwość starego pana doprowadzała go do rozpacz. Czy to tak będzie całą noc? Resztkami sił opanował rozstrojone nerwy i odpowiedział uprzejmie:

— Zapewne, w dużym mieście można się codzień bawić.

— Jestem zawygodny na prowadzenie takiego życia. Raczej idę tam, gdzie nie trzeba się tak bardzo stroić, na przykład do panoptikum, albo do Tovu.

Feuton milczał, towarzysz jego nie zwracał na to prawie uwagi i podjął po chwili:

— Nie mówię, abym po takie przyjemności jeździł do miasta, widziałem je już nieraz. Tym razem byłem w Londynie za interesami.

Feuton odpowiedział znużonym kiwnięciem głowy.

— Czy można palić? Nie ma pan nic przeciw temu? — gadał tamten nieprzerwanie i wy dobył cygaro wątpliwej wartości.

— Ależ owszem — zdecydował się odezwać Feuton, ufając, że w ten sposób wreszcie zakończy rozmowę.

— A może i pan sobie zapali? — podsunął mu obszerny portfel.

— Dziękuję, nie... Pалę bardzo mało.

— Bardzo ładnie, łaskawy panie. Na to ma pan zawsze jeszcze czas. Najlepiej, aż starość ze swymi troskami przycisnie.

Zadowolony ze swej filozofii życiowej, poprawił się wygodnie na siedzeniu i otoczył wkrótce kłębam dymu.

Młędzy obu podróżnymi zaległo milczenie. Feuton jednak zawiódł się bardzo jeśli sądził, że obcy pan poświęci się w zupełności przyjemności palenia. Nie upłynęło jeszcze pięć minut, gdy rozległ się jego wesoły i zadowolony głos.

— Tak, tak, miałem różne sprawy do załatwienia w Londynie. Opowiem panu, bo zdaje mi się, że pana te rzeczy zajmą.

I zaczął opowiadać. Monotonny głos jego uderzał tylko słuch Feutona i mieszał się z turkotem kół i sapaniem lokomotywy. Myśli tegoż były bardzo daleko. Przemoczony aż do skóry, drżał z zimna i czuł się strasznie źle. Czyż w całym ogromnym mieście mógł być ktoś drugi, bardziej niż on nieszczęśliwy? Przypniatała go myśl, że on, Grzegorz Feuton, uciekał jak zbrodniarz, oskarżony o morderstwo popełnione na kobiecie, za którym już rano szukać będzie policja. Pot zimny wystąpił mu na skronie, a z piersi wydął się jęk. Pocziwy Yorkshirczyk spostrzegł wreszcie, że z jego towarzyszem podróży coś niezwykłego się dzieje. Przerwał swe opowiadanie i pochylając się ku niemu, zauważył z współczuciem:

— Ależ panie, pan ma ubranie całkiem przemoczone.

Feuton nie miał siły zaprzeczyć.

— Zaraz, czekaj pan! Zaradzimy jakoś temu — mówił jowialny staruszek, podnosząc się z miejsca. — Ma pan, okryj się pan tym płedem. Bardzo to ryzykowne podróżować w takim cienkim paltocie, który lada deszczyk może przemoczyć.

(Ciąg dalszy nastąpi).